O aptekarzu z Jasła, który zmienił świat i skutkach jego wynalazku

Fot. Lukas Baumert z Pixabay

Stefan Król *(1937-2015)*

Wiek XX przeszedł już do historii. Jeśli patrzeć na jakości historyczne, a nie daty kalendarzowe, wiek XX skończył się w 1989 r. Wraz z upadkiem muru berlińskiego, kiedy to historia zrezygnowała – miejmy nadzieję; ostatecznie – z komunistycznego sposbu uszczęśliwiania ludzi. Wiek XX bywał skracany także na poczatku. Za jego początek istotny – nie kalendarzowy – uważa się wybuch rewolucji 1905 r. Do głosu politycznego doszły wtedy po raz pierwszy, głosy uprzedniego „wieku pary i elektryczności”. Produkcja przemysłowa zastąpiła produkcję rolną w funkcji głównego regulatora życia

społecznego. Nie wschód słońca, ale syrena fabryczna stała się sygnałem do rozpoczęcia nowego dnia pracy. Sytość i głód zaczęły się rozdzielać w różne regiony geograficzne. Tam, gdzie się nie rozdzieliły, kontakt pozaprodukcyjny między nimi sprowadzał się do strajków i buntów niezadowolonych.

Stabilne społeczeństwa stanowe składające się z ludzi akceptujących to kim są, ustapiły miejsca społeczeństwom przemysłowym – ludziom niezadowolonym z tego, co mają. Godność rolnika i rzemieślnika przegrywała z bezwzględnością najemcy. Mentalność rolnicza ustąpiła miejsca mentalności technicznej. Przy koncu millenium nawet uprawa roli stała się przemysłem. Zmiany następowały początkowo powoli, później szybciej, ale kierowała nimi właściwie jedna przyczyna: użyteczność. Trudno bez większego zastanowienia zaprzeczyć, że wszystkie wynalazki, wszelkie nowe zasoby energii, są użyteczne dla człowieka, ponieważ poprawiają warunki życia. Śilnik spalinowy jest lepszy niż koń w zaprzęgu, gdyż pozwala na szybszą podróż, i to coraz większej liczbie ludzi, co jest –oczywiście – użyteczne, bo wieksza jest wygoda życia. Do pewnego punktu – niestety, kiedy gęstość spalin uniemożliwi oddychanie.

Jest jeszcze i drugie *niestety*. Kierowanie się jedynie użytecznością wytwarza mechanizm samonapędzający się: wynalazek pociąga za sobą wynalazek. Żeby silnik spalinowy

pracował niezawodnie musi mieć niezawodne świece, które wymagają odpowiednich materiałów, te z kolei odpowiedniej technologii. Na każdym etapie wytwarzania pracują wyspecjalizowane ślilniki. I tak wplątaliśmy się w nieskończoną spiralę postępu. Dokąd ta droga nas zaprowadzi? Czy płynąc łodzią postępu technicznego napotkamy wodospad, który będzie naszą otchłanią, czy spokojne jezioro odkrywające przed nami krajobraz raju?

Na początku XX wieku rzadko zadawano to pytanie, nie bardzo go sobie nawet uświadamiano. Byliśmy pewni raczej raju. I pewni siebie. Wydawało się, że rozum ludzki wcześniej czy później rozwiąże wszystkie problemy. A te problemy, które nie mają rozwiązania, są po prostu bezsensowne. Człowiek myślał, że staje się bogom równy. To właśnie na progu kolejnego wieku ludzka pycha powiedziała przerażające słowa: *Bóg umarł. Obwieszczam wam Nadczłowieka.* Druga część tego obwieszczenia stała się, niestety, ciałem. Znamy dzieła „nadczłowieka". Pierwsze zadanie, które sobie nadczłowiek postawił, to znalezienie „podczłowieka", który będzie ponosił koszty „nadludzkich" celów. Kryteria klasyfikacyjne w różnych miejscach były różne, ale wynik ten sam: Oświęcim i Kołyma różnią się sieszczegółami technicznymi i klimatycznymi, ale nie efektem końcowym. Degradacja człowieka osiągneła w obu przypadkach absolutne dno.

Zabrzmi to okrutnie, ale nie będzie to chyba przepowiednia zupełnie fantastyczna, gdy powiem, że historię XXI wieku w wiekszym stopniu wyznaczać będą rzeczy, które po nich nastapią niż miliony ofiar XX-wiecznych totalitaryzmów. Umarli nie mają racji, a współcześni żywi mierzą jakość życia głównie ilością posiadanych przedmiotów, możliwie najnowszych. Produkujemy więc coraz więcej, coraz mniej trwałych i coraz mniej potrzebnych rzeczy. Stare wyrzucamy bez sentymentu do śmieci. Wyznanie Teresy Tatarkiewiczowej, żony wielkiego filozofa: „Bardzo lubię przedmioty, które posiadamy. Przywiązuję się do nich jak do bliskich ludzi wraz z ich wszelkimi usterkami i wadami”- brzmi rzeczywiście jak nie z tego wieku. Nie szacowna dawność lecz nowość są kanonizowane i to bez żadnego procesu dowodowego, po prostu z zasady. Stare bezużyteczne już przedmioty ożywają jedynie wtedy, gdy zatrzyma się przy nich poeta i napisze przejmującą elegię.

> *Światło mego dzieciństwa*
>
> *Lampo błogosławiona*
>
> *w sklepach starzyzny*
>
> *spotykam czasem*

twoje zhańbione ciało

a byłas dawniej

jasną alegorią

duchem uparcie walczącym

z demonami gnozy

cała wydana oczom

jawna

przejrzyście prosta

na dnie zbiornika

nafta-eliksir pralasów

śliski wąż knota

z płomienną głową

smukłe panieńskie szkiełko

> *i srebrna tarcza z blachy*
>
> *jak Selene w pełni*

Przywołałem fragment jednego z najpiekniejszych wierszy Zbigniewa Herberta *Elegia na odejscie pióra, atramentu, lampy naftowej,* nie tylko dlatego, że ja również pierwsze szkolne zadanie domowe odrabiałem przy lampie naftowej, a na starość większość dnia spędzam przy komputerze, więc znam ból przemijania przedmiotów, ból znikania „oswojonej" postaci świata. Historia wzrostu, świetności i upadku lampy naftowej zawiera rzeczywiście morał, którego nie będzie mógł zignorować wiek następny.

Połowa XIX wieku. Urbanizuje się Europa, urbanizuje się Ameryka. New York mający w 1800 r. 60 tysięcy mieszkańców wkroczył w wiek XX z trzema milionami dusz i takąż liczbą ciał. Ciała potrzebowały pożywienia, dusza jak to wynika zchoćby z wiersza Herberta – światła: na ulicach i przede wszystkim w mieszkaniach. Ponieważ pęczniał nie tylko Nowy Jork, ale również stare miasta jak Londyn, Paryż oraz zupełnie nowe jak nasza Łódź, ceny świec woskowych rosły szybciej niż liczba mieszkańców w Nowym Jorku. Porzekadło „gra warta świeczki" miało wtedy swój twardy dolarowy sens. Świece oliwne były tańsze ale dawały nienajlepsze światło. Najtańszy był olej z

wielorybów i światło dawał nie wiele gorsze niż świeca woskowa. Dlatego znim zaczął rodzić się „wiek pary i elektryczności” – co stało się dopiero pod koniec XIX w. – wieloryby zwłaszcza w Arktyce, znalazły się na krawędzi zagłady. Tak wielkie było zapotrzebowanie na tran.

Uratował je skromny aptekarz z Jasła, dziś zupełnie zapomniany galicyjski pionier przemysłu naftowego, Ignacy Łukasiewicz. Poza pracą w aptece i wyrabianiem lekarskich mikstur interesował się olejem skalnym, który czesto -podróżując po okolicy – spotykał i który tylko nadawał się do smarowania osi kół u wozów. I tak długo go destylował, aż otrzymał przezroczystą żółtawą naftę, dobrze się spalającą. Łukasiewicz, człowiek praktyczny, wpadł wtedy na pomysł ,żeby naftą zastąpić wosk. Zaczął konstruować lampę. I tak długo przy niej majstrował, aż zaczęła bezpiecznie spalać naftę, dając przy tym światło jaśniejsze i równiejsze niż świeca woskowa. Pewne jej odmiany górowały nad świecą łatwością przenoszenia.

Lampa naftowa uratowała wtedy wieloryby. Nie jest to niestety ostatni *happy end* dla wielorybów. Wynalazek Łukasiewicza był oczywiście olbrzymim postępem w stosunku do świecy – postępem w stosunku do oświetlenia. Ale był nie tylko postępem, czyli pożądanym ulepszeniem, pozytywną kontynuacją. Był także początkiem. I to jest w tej historii najważniejsze. Lampa naftowa była pierwszym zastosowaniem oleju skalnego w życiu

codziennym. Za nim poszły następne. Było ich tak dużo i tak zmieniały naszą planetę, że lampa przeszła do sklepu ze starzyzną, a o ropę naftową zaczęły się wojny. Nafta stała się krwią cywilizacji i jest nią do tej pory. A krew czasem podlega transfuzji. Do transfuzji nafty z jednego miejsca globu do drugiego służą olbrzymie statki oceaniczne, które czasami ulegają awarii. Drogocenna ciecz wylewa się do oceanów. Wieloryby są znowu na wymarciu.

Telewizja pokazała przerażliwy obraz: wieloryby giną masowo na brzegu oceanu. Uciekają z wody zalanej cieczą, która przed wiekiem paląc się w lampach uratowała życie ich dziadków. Śmierć wielorybów jest może jeszcze dlatego wstrząsająca, że te zwierzęta umierają w sposób ludzki. One nie poddają się śmierci, one smierć wybierają. Wolą umrzeć w powietrzu bez wody niż w wodzie, która jest naftowym smrodem.

Tragedia wielorybów jest częścią globalnej tragedii; tragedii naszej Matki Ziemi spowodowanej cywilizacyjnym zastosowaniem oleju skalnego.

Gdy usłyszymy o jakims ekstremalnym zachwianiu pogody, wielkiej powodzi lub wielkiej suszy słyszymy najczęściej o El Nino – Dzieciątku, ciepłym prądzie morskim. Istotnie spowodowane przez El Nino ocieplenie ogromnych mas wody w opszarze równika na wschodnim Pacyfiku postawiło na głowie

klimat w wielu częściach świata. Zmiany klimatyczne powodują zmiany w biosferze, najszybciej w biosferze bakteryjnej i wirusowej. Epidemia gorączki Rifta-Valleya na wschodzie Afryki, cholera w Ugandzie i Tanzanii, wzrost malarii w Ameryce południowej, to są udokumentowane już skutki pośrednie El Nino. Przechodząc do następnego ogniwa w łańcuchu przyczyn powiedzieć trzeba, że śmiercionośny prąd morski powstał na skutek globalnego ocieplenia klimatu na kuli ziemskiej, do czego w niemałym stopniu przyczyniły się wydzielane do atmosfery spaliny w wiekszości własnie z oleju skalnego – „eliksiru pralasów'.

Przyszłość naszej planety leży w naszych rękach, fot.

stokpic z Pixabay

Opowiedziane wyżej zmienne koleje losu obcowania wielorybów z ludzkim postępem w sposób wprost modelowy pokazuje dwuznaczną twarz postępu technicznego. Postęp jest ambiwalentny, i jest to – jak się wydaje – jego konieczna przypadłość. Postęp rodzi, obok zamierzonego przez projektodawców pozytywnego efektu, także niezamierzone efekty uboczne.

Ktoś powiedział, że równanie Newtona są mądrzejsze od samego Newtona. To prwada – w pewnym oczywiście sensie. Newton napewno nie wyobrażał sobie nawet promila konsekwencji, do których doszły pokolenia jego następców rozwiązując równania przez niego pierwszy raz napisane. Podobnie jest z działalnością technologiczną człowieka. Skromny aptekarz z Galicji nie zdawał sobie sprawy, jak potężną rzekę nowych technologii inicjuje swoim wynalazkiem; rzeka Heraklita w porównaniu z rzeką Łukasiewicza wydaje się malutkim strumyczkiem, ta druga jest wręcz Amazonką.. Pierwsza mierzyła jedynie upływ czasu, gdy druga tworzy jego nowe jego odmiany. W rzece Heraklita każde zanurzenie nogi oznaczało wejście do innej częsci tej samej wody, w rzece Łukasiewicza za każdym razem unosi nas inny płyn. Jak dotąd jednego mogliśmy być pewni: kolejny płyn – w rzeczywistej nie filozoficznej rzece – jest bardziej śmierdzący od poprzedniego. Oczywiście to wszystko było poza zasięgiem wyobraźni galicyjskiego aptekarza, on chciał po prostu rozjaśnić

noce w podkarpackich chatach.

Sytuacja wynalazku Łukasiewicza nie jest wyjatkowa lecz typowa. Każdy wynalazek jest jak moneta: ma dwie strony. Na awersie ma twarz anioła, z rewersu grozi nam demon. Rozdzielenie tych stron leży, jak się wydaje, poza ludzkimi siłami. W końcu skażenie ludzkiej natury grzechem pierworodnym nie jest tylko biblijnym mitem. Jedynie, co możemy zrobić, to ograniczyć władzę demona.

Pierwszy krok w tym kierunku to ograniczenie wszechwładzy produkcji i absurdalnego dążenia, wprowadzenie w ruch wszystkich planet, wszelkiej ludzkiej pomysłowości. Musimy przestać patrzeć na naturę wyłącznie pod kątem jej wykorzystania, jako na środowisko w zasadzie elastyczne; jego ewentualne opory są co najwyżej przeszkodami, które należy pokonać. Jest to postawa władcy i eksploratora, nie współpracownika. Biblijna parabola siewcy, który sieje, dba o ziemię, pielęgnuje ziemię, jej powierza nadzieję plonu,”a gdy stan zboża na to pozwala, zaraz zapuszcza sierp, bo pora jest na żniwo”.Parabola w prosty sposób demonstruje stosunek do przyrody, który można by nazwać stosunkiem sakramentalnym. Zapomnieliśmy o nim zastępując go stosunkiem wyłącznie instrumentalnym. Wyrazem tego ostatniego jest znane przysłowie: lepszy wróbel w garści niż orzeł na drzewie. Otóż nie!

A w każdym razie nie zawsze wróbel w garści jest lepszy od orła na drzewie. Wiek XXI musi – własnie : musi! – uznać zasadność tego odwrócenia. Wróbel w garści jest okazem z muzeum lub produktem na obiad, ale nie jest już ptakiem: ptakiem jest wyłącznie w zaroślach. I dlatego musimy nauczyć się pewną liczbę wróbli wypuścić z garści i to nie tylko po to, żeby zachować orły w dobrej kondycji, ale żeby na planecie zachować człowieka z nieśmiertelną duszą, tzn. człowieka, pamiętającego o przymierzu zawartego z Bogiem i jego stworzeniem, które, jak wiadomo, Stwórca uznał za dobre.

Wiek XXI czeka trudne wyzwanie: opanowanie sztuki ubożenia. Dobrą propedeutyką do opanowania tej sztuki są w języku polskim „kazania" księdza Jana Twardowskiego. Zakończę więc jednym z takich „kazań";

> *Szukasz prawdy ale nie tajemnic*
>
> *liścia bez drzewa*
>
> *wiedzy a nie zbawienia*
>
> *boisz się opszeć na tym czego nie można*
>
> *dotknąć zaczynasz od sukcesu wielki i*

> *zbędny*
>
> *nie milczysz ale pyskujesz o Bogu*
>
> *chcesz być kochany ale sam nie umiesz*
>
> *kochać*
>
> *myślisz ze sobie zawdzięczasz wyrzuty*
>
> *sumienia*
>
> *nie wiesz że dowodem na istnienie jest to*
>
> *że dowodu nie ma*
>
> *inteligentny a taki niemądry*

Jeśli nie będzie to wołanie na pustyni, wypełniające przykazanie, które Bóg ogłosił po stworzeniu pierwszych ludzi: „Czyńcie sobie ziemię poddaną” nie uczynimy z ziemi niewolnika, jak dyktuje nam mentalność techniczna, ale przekształcimy ją w ziemię obietnicy, w ziemię obiecaną. Wystarczy tylko pamięć – bagatela! – że ziemia nie jest miejscem swawoli, bo rosną na niej drzewa z owocami zakazanymi. O tym właśnie wiek XX starał się

wszelkimi sposobami zapomnieć. Najwyższy czas żeby porzucić paradygmaty zapominania. W zamian mamy obietnice: wieloryby nie będą uciekać z morza, a my będziemy mieć światło w mieszkaniach w długie zimowe wieczory.

Stefan Król – *kanadyjski fizyk, felietonista, mieszkający w London, Ontario.*

Zobacz też:

> Zmierzch Zachodu. Rozważania na Nowy Rok.